

Kronika tygodniowa.

Zabierając się do pisania niniejszej „majowej“ kroniki, znalazł się niżej nie podpisany w tem arcy-mielem położeniu, co dajmy na to właściciel handlu oryginalnych win węgierskich, gdy go, podczas proszonego obiadu, posadzą pomiędzy zaprzysiężonym chemikiem i dyrektorem miejskiego wodociągu, a naprzeciw siebie widzi słodko uśmiechnięte oblicze pana prokuratora.

Bo i jakże tu pisać „majowo“, choćby nawet alizarynowym atramentem, gdy dno kronikarza jest raczej marcowo nastrojona!... Proszę tego jednak źle nie zrozumieć! Nie mam bynajmniej na myśli kociego karnawału, który dawniej przypadał na marzec, a obecnie, gdy koty, po przeistoczeniu się w zające, poszły na zaspokojenie ludzkich apetytów, skreślony został zupełnie z kalendarza. Kronikarz jest zresztą za stary, by mu podobne głupstwa miały jeszcze chodzić po głowie, nie zgodziłaby się na to i pani Weronika.

Wyrażenia „marcowy nastrój“ używam zamiast określenia tego stanu umysłowej i duchowej depresji, w jakiej się znajduje każdy z nas nie wiedzący, co by pożar i gdzieby się mógł zagrześć.

Maj, ów piękny maj, o którym śpiewają poeci, słońce kochani itd., dobiega już do połowy, a mąka z Ukrainy jak nie nadchodzi tak nie nadchodzi. Magistrat wydaje wprawdzie bardzo punktualnie karty chlebowe, ale niestety, nie otrzymuje się obecnie na nie świeczek, ani nawet zepsutej cebuli. Bez świeczek ostatecznie obejść się można, gdyż dzień coraz dłuższy, a i bez cebuli można być zbawionym. Trudniej przecież obejść się bez mąki i chleba, stanowiącego dziś dla wielu przysmak, trudny do zdobycia.

Nie trzeba bowiem myśleć, że mąki i chleba brak. Owszem i jednej i drugiego jest dość, może nawet więcej niż potrzeba, zwłaszcza, odkąd władze patrzą przez palce na tak zwany wolny handel tymi artykułami. Miało to wpłynąć na obniżenie cen, ale tak się nie stało. W pokątnym, ale dziś jawnie uprawianym handlu, mąka pszenna, tak zwana „nulka“, dochodzi do szesnastu koron za kilogram (tak mi przynajmniej mówiła Weronika, a ona nigdy nie kłamie!), kromka chleba, ważąca dziesięć dekagramów, „z grzeczności“ kosztuje tylko... koronę, gdyż cena dwukilowego brachenka chleba waha się między osiemnastu a dwudziestu koronami.

I proszę mi powiedzieć, jak urzędnik, choćby nawet złotokolnierzowiec, ale mający do wyżywienia siebie, żonę (czasem nadto i teściową!), ośmioro dzieci i służącą, może sobie pozwolić na odpowiednie zaopatrzenie swej rodziny w ten niezbędny artykuł. Kupi tyle chleba, aby go nie brakło nikomu z domowników, na co innego mu nie wystarczy, wiadomo zaś, że „nie samym chlebem żyje człowiek“.

Z Ukrainy nadchodzi podobno, gdyż tak opowiadają optymiści, groch i fasola, mające do odegrania podwójną rolę, bo w pierwszym rzędzie zaspokojenie apetytów różnych głodomorów, w drugim zaś przyczynienie się do fabrykacji gazów trujących, znajdujących tak szerokie zastosowanie w obecnej technice wojennej.

Alle fasola i groch nie zastąpią nigdy chleba, na który ostrzą sobie obecnie zęby i ci którzy go dotąd traktowali, jak to mówią „per nogam“, a dziś obliżują się ze smakiem, jeśli im się uda zdobyć gdzieś bodaj kawałek zeschniętego.

W najrozmaitszych pamiętnikach z czasów wojny francusko-pruskiej i oblężenia Paryża czytaliśmy o wygórowanych cenach różnych artykułów spożywczych i dziwniliśmy się, jak ówczesni ludziska mogli byli sobie dać radę, tymczasem widzimy, że my sami znajdujemy się dziś w daleko gorszym położeniu, choć jesteśmy zdala od właściwych teatrów wojny, a o oblężeniu Krakowa nikomu się nawet nie śni.

Dla przyszłego historyka, który zajmie się kiedyś tymi czasami, jakie nam przeżywać przychodzi, przytoczę kilka pozycji, wyjętych częściowo z zapisków gospodarskich mej zamej połowicy, nie wiedzącej w samej rzeczy jak zwać koniec z końcem i mego własnego doświadczenia.

Więc: kilogram cukru (bez karty) dziewiętnaście koron, kilogram mięsa wołowego szesnaście, tyleż masła czterdzieści do pięćdziesięciu, chudy indyk sto, takąż kura pięćdziesiąt, para kurcząt wielkości wróbla dwadzieścia, litr mleka, odpowiednio ochrzczonego, trzy do czterech itd. Wogóle obecnie liczy się tylko na korony, halercze stały się zupełnie niepotrzebnymi i prawdopodobnie dlatego brak ich zupełny.

A dalej: jajko na twardo sześćdziesiąt halerczy do korony, kawałek zwykłego krowiego sera (*tormage de Krasula*), wagi około dziesięciu deka koron pięćdzie-

siąt, bułka, mniejsza od dawnej centówki, osiemdziesiąt halerczy do korony, dekagram zwykłej kielbasy, nazwanej wiejską, czterdzieści halerczy, a nawet więcej, dekagram szynki gotowanej pięćdziesiąt do sześćdziesięciu halerczy, szklanka „nie bardzo czystej“, tak zwanej herbaty z jednym kawałkiem sacharyny sześćdziesiąt halerczy, mały kieliszek wódki korona osiemdziesiąt i więcej, bomba piwa najpośledniejszego gatunku korona trzydzieści itd.

Z tego pobieżnego zestawienia cen artykułów, między którymi znajdują się wprawdzie takie bez których łatwo obejść się można, widzi jednak każdy, że w czasie oblężenia Paryża nie miano z pewnością tyle kłopotów z aprowizacją, ile ich my dziś mamy, choć jeszcze, dzięki Bogu, nie pojawiły się na naszych jałospisach oficjalnie takie specjały, jak naprzykład szczury.

Nikt przecież przewidzieć nie może, czy do tego nie dojdzie.

Informowałem się u jednego z krakowskich masarzy, dlaczego wieprzowina taka droga. Odpowiedział mi, że powodem tego jest okoliczność, iż sprzedający, o ile na targ dowiezie jaką sztukę, żąda za nią niebywałej ceny, tłumacząc się, iż wiozł poprzednio dwie sztuki, ale mu skrośkowano, gdyż nie miał na to pozwolenia z Urzędu obrotu bydłem. Serce nie pozwala mu zostawić Krakowian bez wieprzowiny, próbuje więc szczęścia po raz trzeci, ale równocześnie powiada mu rozum, że jeśli się to dziś uda, należy odbić poprzednie straty.

— Ja zaś — kończył masarz — jestem wobec tego bezsilny!... Bez towaru zostać nie mogę, płacę więc tyle, ile żąda, a nikt chyba nie może wymagać odemnie, bym dokładał do tego interesu z własnej kieszeni. I ja muszę żyć, muszę więc coś na tem zarobić!... Kto chce jeść wieprzowinę i świńskie delikatesy, niech zatem płaci, kto nie ma na to pieniędzy, niech się smakiem obejdzie!...

Być może, że tak, jak mi sprawę przedstawiono, jest w samej rzeczy, kwestję tę poruszam tylko dlatego, iż dziwnem mi się wydawało, że Galicya, kraj rolniczy i mający rozwiniętą hodowlę nierogacizny, cierpi właśnie na brak wieprzowiny.

Rękę do tego przykładu też i odpowiednia centrala, która wywozi od nas na Zachód bydło i nierogaciznę, jako rzekomo „pochodzącą z Ukrainy“, nam samym każąc czekać na dalsze transporty, które radejda prawdopodobnie wraz z mąką, o ile się naturalnie nie spóźnią lub nie zmylą sobie drogi.

Wobec tych i tym podobnych aprowizacyjnych mankamentów, trudno chyba wymagać, by przeciętny śmiertelnik, nie będący ani handlarzem wojennym, ani destawcą, ani nawet pośrednikiem w kupnie i sprzedaży, miał być wesoło usposobiony, by go iście marcową melancholia po łydkach nie kasała!...

Zaznaczyłem na wstępie, iż nikt nie wie „co ma pożyć“ i nad tem może zbyt długo się zatrzymałem, nastąpić bowiem musi jeszcze i druga część, traktująca o tem, że nie wie też „gdzie i jak się ogrzać“.

Miesiąc maj miał być ciepły i mokry, aby żyto było „niby gaj“. tymczasem dzieje się wprost przeciwnie, jak dotąd bowiem (piszę te słowa 12 maja) jest i suchy i dość zimny.

Co do wilgoci, to też, mając podeszwy u bucików w dość oplakany stan, bynajmniej nie pragnę. — Jeśli agraryzom potrzebny jest deszcz, niechaj sobie pada na wsi, omijając Kraków, choć i tu wzdycha doń Zakład czyszczenia miasta, by go wyręczył w polewaniu ulic. A niebiosa są na Kraków łaskawe, jak to widzimy choćby z tego, że teraz panna często wiatry, których przedtem nie bywało, a przynajmniej nie tak silne. Taki wiatr zmiecie śmieci z ulicy i placu na jedną kupę, przez co oszczędza roboty, potem zaś roznieście ją na wszystkie strony i obejdzie się bez wywożenia.

Nie o tem jednak chciałem pisać. Chodziło mi głównie o zimno, dokuczające nam co roku na początku maja w okresie imienin świętych Pankracego, Serwacego i Bonifacego, nazwanych nawet popularnie, choć nie po polsku *Eismännerami*. Czy w tym roku się pospieszili, a każdy, wiadomo, żyje dziś nerwami, czy jest to zimno nadprogramowe, a właściwego w swoim czasie możemy się dopiero spodziewać, tego nie wiem, narzekam przecież na aurę złośliwą, dającą się we znaki zwłaszcza tym, którzy noszą już letnie kostiumy, więc z wentylacją na łokciach, kolanach i t. d. Myślało się, że z chwilą zaprowadzenia letniego czasu nastaną i letnie ciepła, spotkał nas przecież pod tym względem zawód. Kto wie, czy nie jest to przygotowanie do założenia nowej centrali, mającej się zająć równomiernym rozdziałem ciepła między wszystkie kraje monarchii z szerególniejszem naturalnie uwzględnieniem Wiednia i okolicy. Już i Wiedeńczycy narzekają wprawdzie na centrale i wykazują ich szkodliwość, ale one nic sobie z tego nie robią, mnożąc się, niczem grzyby po deszczu. Śnieżenie im, jak ró-

wnież i pokrewnym im instytucjom, n. p. *Pecus, Geos* i t. d., musi jednak być bardzo popłatnem, wszyscy bowiem ich współpracownicy wyglądają tak okragło i tak są zawsze uśmiechnięci, co jest znakiem wewnętrznego zadowolenia, iż budzi to aż zazdrość w zwykłym galicyjskim głodomorze. Kręci się ich zaś po galicyjskim *Bärenlandzie* całe mnóstwo, wietrząc, czy przypadkiem nie da się stąd jeszcze coś zabrać.

Ale to do tematu nie należy. Zacząłem o zimnie i o niem chcę dalej rzecz prowadzić. Mam pecha, niech tylko zacznę o czem pisać, dzieje się zaraz inaczej, być może, że stanie się tak i teraz i nim skończę kronikę, aura się ociepli.

Zastanawiałem się długo i szeroko nad tem, co może być powodem tego oziębienia, pytałem o to na wet i różnych fachowców.

Jeden wytłumaczył mi, że akurat teraz jest pora odrywania się lodów od biegunu północnego. Pędzone prądami morskimi dostają się one na Atlantyk, aż ku wybrzeżom Francji. Ponieważ zaś w obecnej porze panują przeważnie wiatry zachodnie, zimny podmuch dochodzi i do nas. Jednem słowem, koalicja chce nas nie tylko wygłodzić, ale i wymrozić. pomocną rękę podają jej w tym wypadku Rosya i Ukraina, choć z nami sprzymierzone. Odczas otwarcia granicy dają nam się odczuwać i wiatry wschodnie oraz północne, czego nie było dawniej, gdy rogatki graniczne były szczelnie zamknięte, a do przejazdu przez nie trzeba było legalnego paszportu, lnb... łapówki. Zwłaszcza prądy ukraińskie nie wróżą dla nas nic dobrego!...

To wytłumaczenie przypadło mi zupełnie do gustu i przemówiło do rozumu, choć Weronika twierdziła, że powodem obniżenia się temperatury może być bardzo łatwo masowe podawanie lodów i mrożonej kawy w naszych cukierniach i kawiarniach.

Ja tych specyałów jeszcze tego roku nie próbowałem, gdyż mnie na to nie stać, opowiadali mi przecież o tem inni. A tem się oni różnią odemnie, iż na wojnie zrobili dobre interesy i jeszcze ciągle je robią, więc końca wojny bynajmniej nie pragną, gdy natomiast ja, dzięki kochanej wojence, zeszedłem najzupełniej na psy, skoro nie mogę sobie pozwolić na taki wydatek, jak szklanka kawy mrożonej, lub mała porcyjka lodów.

Może to jednak i lepiej!... Narzekam dziś na zimno, wówczas narzekałbym jeszcze głośnie. W taki sztuczny sposób można stłuszczyć nadmierne zapasy, a ja w mój wiek, dzięki Bogu, nie potrzebuję tego, raczej zdałoby mi się więcej ciepłaka, na którego brak słysząc ciągle narzekania.

Jak zaś nabyć go, a potem nie urozić zbyt pośpieszenie, to właśnie problem bardzo trudny do rozwiązania, zwłaszcza w czasie, gdy niema co zjeść, niema czem popić, niema się w co ubrać. Stosunki z dnia na dzień stają się coraz przykrzejsze, ludzie coraz bardziej zdenerwowani i wyglądający tylko końca wojny.

Kiedy to może nastąpić?... Na to, jak już w poprzednich kronikach nieraz zaznaczałem, nawet filozof odpowiedzieć nie jest w stanie, to bowiem, co nam, zwykłym śmiertelnikom, wydaje się być krokiem jednym więcej do jej zakończenia, przez wielkich polityków uważane jest, wprost przeciwnie, za jej przeciągnięcie. Jedni twierdzą, że musi się ona skończyć jeszcze w tym roku, inni są zdania, że może to nastąpić nie wcześniej, jak w roku 1920, a niema nikogo, ktoby przewidział, czy ci, czy owi mają rację. Pani de Thèbes zmarła, babka ze Śląska milczy, nie odzywają się i inni wróżbici obojga płci, ale może to i lepiej, iż ludzi w błąd nie wprowadzają, skoro dotąd nie sprawdziła się żadna ich przepowiednia.

Gdyby mnie kto zapytał, jakie moje zdanie w tym kierunku, to jest, kiedy możemy się spodziewać końca wojny, odpowiedziałbym mu: „w maju“, mając na myśli naturalnie ów maj przysłowiowy.

I tak mi się przynajmniej zdaje, nie pomyliłbym się bardzo, straciłem bowiem wogóle nadzieję, czy kiedykolwiek uda mi się, a razem ze mną i P. T. Czytelnikom, doczekać tej radosnej chwili, gdy rozłągnie się na ziemi tak pożądany głos trąby archanielskiej: — Pokój na ziemi ludziom dobrej woli!...

Czy jednak archanioł zatępi i kiedy?... Na to znów trudna odpowiedź, jeśli się zważy, że trąby są przeważnie sporządzone z mosiądzu, a ten zarekwirowano na cele wojenne.

Kpiłszy sobie, mówiąc i pisząc, że obecna wojna potrwa lat trzydzieści, tymczasem dziś widzimy, że ten, kto to wymyślił, to nie był bynajmniej głupi człowiek. Cóż to jest zresztą lat trzydzieści w porównaniu z całą wiecznością? Drobnostka, która nawet nie może w grę wchodzić. Skoro zaś udało nam się przetrzymać jako tako, choć z biedą, lat cztery, damy sobie radę i z pozostałymi dwudziestu sześcioma. Lata wojny liczą się, jak wiadomo, podwójnie, kto więc doczeka końca wojny, będzie sobie mógł policzyć sześćdziesiąt lat do emerytury!